

GŁODNE SŁOŃCE

Dymiące zwierciadło

WOJCIECH ZEMBATY GŁODNE SŁOŃCE

Dymiące zwierciadło



powergraph

Warszawa 2016

Copyright © 2016 by Wojciech Zembaty
Copyright © 2016 by Powergraph
Copyright © 2016 for the cover illustration by Sławomir Wolicki
Copyright © 2016 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Sławomir Wolicki
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
„Firma Księgarska Olesiejuk” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: 22 834 18 25
powergraph.pl
sklep.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-55-4

Druk: READ ME
Printed in Poland, EU

*Tylko spać przychodzimy.
Tylko marzyć przychodzimy;
nie jest prawdą, nie jest prawdą,
że żyć przychodzimy na ziemi.
W wiosenną trawę się zmieniamy;
zelenią się te trawy,
otwierają się korony naszych serc,
ale ciało nasze jest jak krzak różany;
zakwita na nim kwiat i usycha.*

Nezahualcoyot

Prolog

Delores otworzyła oczy i odruchowo złapała się za ciężki, wypukły brzuch. Jasną skórę miała napiętą jak bęben. Nasłuchiwała, skupiona na drgnieniach ciała. Kiedy wreszcie poczuła kopnięcie, na jej bladych, zsiniałych ustach pojawił się słaby uśmiech. Ulga wywiała z niej przerażenie i ból, na chwilę obmyła jej świat z koszmaru.

To nie był sen, raczej bezdenne studnia krzyków i czerwonych fal, tupotu bosych stóp i gasnących, zdmuchniętych jak świece twarzy. W tej studni raz po raz przeżywała atak na ich wioskę, panikę i bezładną ucieczkę. Byle dalej od rozprutych wnętrzności ich domu: mebli rozrzuconych w błocie i wirujących kłaczek bawełny, pierza i włosów, które właśnie zmieniły się w skalpy. Byle dalej od trzaskania płomieni i syku ludzkiego tłuszczu, od ohydneho odgłosu, z jakim upadł po ciosie jej mąż, z czerwoną szczeliną wykwitłą w brązowych włosach, jakby to on zaraz miał zacząć rodzić, nie ona. Deloras płakała, ale życie w jej wnętrzu wzywało, by wzięła się w garść.

Zoetal porwała ją, dźwignęła i pociągnęła za sobą w dżunglę. Ciernie kaleczyły jej wykrzywione, opuchnięte nogi, kiedy

stąpiła z wysiłkiem, podtrzymując brzuch. Jak ona to w ogóle zrobiła? Wczoraj pół dnia miała skurcze. Myślała, że nie jest w stanie zwlec się z posłania za potrzebą, dreptać w krzaki jak koślawa kaczką. Prosiła Zoetal, żeby przyniosła jej chociażby wiadro. Ale wczoraj było tysiące lat temu.

Na początku łudziła się, że napastnicy nie będą ścigali ich w lesie. Że to zwykli rabusie, których zwabiła zdobycz: metalowe narzędzia i broń, z których wyrobu słynął jej lud. Bezcenne i zakazane edyktami kruzańskich królów. Ale tamci nie przysli ich łupić i od razu rzucili się w pościg. Miotane za pomocą *atlatli* pociski świszczwały jak pikujące jastrzębie, szukając ich brzuchów i serc. Delores nie pierwszy raz była zwierzyną, ale dawniej kruzańscy siepacze przynajmniej celowali w nogi. Cenili sobie jeńców, żywe naczynia na Drogocenną Wodę, którą później wlewali w płonąca, czerwoną gardziel ich wiecznie głodnego słońca.

Ale dawniej było tysiące lat temu.

Potem był korzeń, trzaśnięcie skręconej kostki i pierwsza lepsza kryjówka, leśny wykrot pełen opadłych, rozłożystych liści, które w tym tropikalnym lesie spadały właściwie bez przerwy. Kojący szept Zoetal.

W dole leżały ciała. Delores zrozumiała, że atakujący znaleźli też inne wioski, że to nie przypadkowy rajd, lecz zorganizowane i metodyczne działanie. Dla nich dwóch było to nawet dobre. Grasujący po lesie Kruzowie przegapili upchnięte między zwłokami i liśćmi kobiety i pobiegli dalej. Delores poruszyła ustami, odmawiając bezgłośnie modlitwę, wtuliła się mocniej w przyjaciółkę i zamarła. Ktoś znów nadchodził.

Spojrzały sobie w oczy, objęte jak kochanki, którymi nigdy nie były. Głosy Kruzów rozbrzmiewały coraz bliżej, ochryple i oczadziałe przemocą, wstrząsane drgawkami śmiechu. Ciała nad nimi zadrgały, popłynęła krew. Delores patrzyła w zielone oczy Zoetal, a potem ujrzała, jak gasną z cichym

syknięciem, bąbelkiem powietrza i krwi na pełnych, ładnie wyciętych ustach.

Kruz, który przebił Zoetał włócznią, zatrzymał się i otarł śniade oblicze z potu. Miał prostoduszną, zwyczajną twarz spracowanego ojca rodziny. Uczciwego, takiego, który nie mitręży, nie miga się od roboty. Robił to machinalnie, widziała, że nawet nie patrzy gdzie dźga. Wiadomo, Białoskórzy. Deptał ich jasnoskóre ciała – zdaniem Kruzów, niebędące ciałami ludzi – tak jak wiejskie dziewczyny miażdżyły winogrona po zbiorach w jej zamorskiej, dawno straconej ojczyźnie. To była tylko robota. Patrzyła na zdobiące jego kościany hełm pasy cieniutkiej skóry, szarej i jasnej na słońcu, i nagle poczuła w sercu szaloną, zrodzoną z udręki radość. Wiedziała, że zdarła była z takich jak ona, wiedziała, że może jej wioska nie była ostatnia. Ukrytych w dżungli enklaw Białoskórych, takich jak jej osada, musiało być więcej.

Szary Pas pchnął raz jeszcze, poczuła szklisty chłód kamiennego ostrza, które zraniło ją w bok. Nie krzyknęła, wiedziała, że odgłos zaalarmuje oprawców. Ostrze wyszło z niej z miękkim plaśnięciem i wtedy wróciły skurcze. Zagryzła wargi do krwi, której i tak za dużo spłynęło, teraz czuła ją też między nogami. Kłapnęła zębami, chwytając coś, co mogło być ludzkim nadgarstkiem, patykiem, korzeniem, gównem. Delores wczepiła się w to i jakimś cudem zagryzła budzący się w krtań wrzask; przeżuła go i przełknęła wraz z falą strasznego bólu. Słabła, lecz wiedziała, że nie wolno jej teraz odpłynąć.

Znów targnęły nią skurcze, wielkie, bezwzględne łapy próbowały rozerwać ją żywcem. Ciało rozlało się miękko, jakby całe stawało się krwią, biodra można było zgniatać jak ciasto. Nie wydała z siebie nawet szeptu, choć ból był niewyobrażalny i wiedziała, że następna sekunda nadejdzie za tysiąc lat.

Potem na jej zaciśniętych powiekach zachrząścił piach. Idący za katem sprzątacznik niedbale zasypał grób.

Powiadają, że matka urodziła go, gdy opuszczała ją życie. Że agonálny dygot złał się ze skurczami narodzin, że los przechylił szalę na rzecz jego chyboczącego się życia, pchnął na stronę istnienia i światła. Czasem czuł, że to wszystko wyryło się w nim, zapisało gdzieś na dnie pamięci. I znów wdychał smród tamtego dołu z trupami, wymieszany ze słodkim odorem zgnilizny i ropy. Już nigdy nie polubił słodyczy.

Zostały mu zgrzytające, jątrzące gdzieś w trzewiach duszy fragmenty. Przemieszczały się w nim jak drzazga albo urwany grot strzały, który wędruje w ranie, sprowadzając gorączkę i dreszcze. Choć nie mógł tego pamiętać, pamiętał sniadą, oszpeconą poparzeniami rękę mężczyzny, który pomógł mu wyjść na świat. Na wierzchu owiniętej krwawymi szmatami dłoni znajdował się tatuaż, zatarte kontury psa. Wojownik musiał być dobrym człowiekiem, zatrzymał się, słysząc płacz dziecka.

Wydobył go szorstkimi rękoma. Noworodek rozwrzeszczał się. Zamilkł, przestraszony, gdy ujęły go silne, stwardniałe od miecza dłonie. Żołnierz patrzył na niego w zadumie, przeżuając jakąś niełatwą decyzję. Kręcił głową, mruzczał coś i spluwał ponuro. Po chwili westchnął, sprawnie przeciął i podwiązał pępowinę. Odłożył noworodka na kupkę łachmanów i zajął się własnymi ranami.

Chłopiec czekał. Choć ciążyło na nim przekleństwo pamięci, nie szedł za nim, na szczęście, dar wczesnego rozumienia. Leżał więc, łapiąc powietrze, oślepiiony słońcem, zapatrzony w tarczę nieba i wędrujące chmury. Obok jego policzka fruwała mucha, odwrócił główkę, żeby nie łaziła po oczach. I wtedy ją zobaczył. Musiała być piękna, nawet po latach opowiadał o tym z uczuciem poety. Miała niebieskie oczy, klejnoty, przez które umarła. Jej własny Znak Białoskórych. Ale chłopiec rozpoznał ją sercem. Powitał swoją matkę i pożegnał, zbyt szybko ucząc się śmierci.

Rozdział 1

Starożytni Białoskórzy czcili Niebiosa i wznosili ku nim modły. Stanowiły siedzibę ich Boga. Jest to jedno z wielu świadectw ich demonicznej natury. Prawdziwy człowiek wie, że od Nieba, Planet i Gwiazd trzeba się trzymać z daleka.

I tak kiedyś po ciebie przyjdą.

Ykzuppin Młodszy, *Baśnie o krajach ludzi*

Haran nienawidził cotygodniowych kąpiei. Rozebrał się już do przepaski biodrowej, rzucając wokół gniewne, pełne urazy spojrzenia.

— No, na co czekasz? Na zaproszenie od króla? — ponagliła chłopca Heza, wlewając do balii kolejną partię ukropu. Pęcherzowi zrobiło się żal młodego, czuł się, jakby topił kocie-ta. Wywar Hezy przypominał mieszaninę garbarską, a nie coś, w czym dobrowolnie kąpią się ludzie. Zawierał łupiny orzecha *uixachin*, korę dębu i hennę; cuchnęła taniną i wypalała skórę. Ale przy okazji nadawał jej też pożądaną śniadą barwę, coś między odcieniem gliny i polerowanej miedzi. Właśnie ten kolor w krajach Prawdziwych Ludzi wytyczał czerwoną linię, granicę życia i śmierci. Pęcherz słyszał, że w nadmorskich

miastach żyją ludzie żółtoskórzy albo tacy o wełnistych włosach i skórze czarnej jak węgiel, ale nigdy ich nie widział. Prawdziwy Człowiek miał skórę koloru miedzi i rdzy albo kończył z głową nabitą na pal.

Z zamyślenia wyrwało go przekleństwo. Młody wlaź już do balii i odgarnął z czoła włosy, jasne mimo brudu i tłuszczu. Bogowie, jaki był brzydki! Jego budowie zupełnie brakowało proporcji. Już teraz, w dwunaste urodziny, wydawał się nienaturalnie wysoki, długonogi i niezgrabny jak czapla. Twarz miał odpychająco pociągłą, wyciosaną, złożoną ze zbyt ostrych kątów.

Zamiast ładnego, płaskiego nosa wyrastało z niej wydatne haczykowate coś w kształcie orlego dzioba. Prawie nie miał kości policzkowych. Ale najgorszy pozostawał kolor.

Nie, żeby blade, demoniczny odcień był stale obecny. Oboje z Hezą robili, co mogli, żeby ochronić dzieciaka. Nigdy nie powiedzieli mu prawdy, fabrykując na jego użytek powiastkę o rzadkiej chorobie skóry. To było tchórzliwe, zgoda, ale lepiej żyć w kłamstwie, niż być pomiotem demonów. Orzechowy specyfik barwił skórę i pozwalał jej złapać solidną opaleniznę. Pozwalał przeżyć.

Wciąż pamiętali, co stało się kilka lat temu, gdy Pęcherz brał udział w wyprawie wojennej, a Heza zachorowała. Haran, pozostawiony pod opieką ciotek, całymi dniami pluskał się w rzece. Szybko stracił ochronną barwę i cętki bladej skóry wyłoniły się spod złuszczonej warstwy kamuflażu. Heza musiała czekać, aż zapadnie noc, i zawiniętego w koc przemyścić znad brzegu, unikając wścibskich spojrzeń sąsiadów.

— Chcę się wykąpać sam. To takie dziwne? Czemu zawsze się na mnie gapiacie? — burknął Haran. Pęcherz westchnął. Bo ktoś może cię zabić, synku. Na szczęście od gadania miał żonę.

— Czemu, czemu? Bo znowu za szybko wyskoczysz. Masz się porządnie natrzeć, inaczej będzie nieszczęście.

Młody wyczuł zdenerwowanie, nieodmiennie towarzyszące ablucjom, i wpatrywał się w rodziców w napięciu. Pęcherz wzdrygnął się pod tym rozżarzonym spojrzeniem. Szare oczy Harana przypominały stal, zakazany metal, który przywieźli ze sobą Białoskórzy. Popatrzył na swoją ciężarną żonę i przełknął ślinę. Czy popełnili świętokradztwo i czy bogowie odpłacą im właśnie teraz? Jak długo można żyć w grzechu?

Dobrze, że szczeniak nauczył się mrużyć ślepią i chodzić zgarbiony, nie patrząc w twarze rozmówców. Dzięki temu miał jakieś szanse.

Teraz prychał, a Heza szorowała go energicznie, wcierając w skórę maskujący specyfik. Nie powinna tego robić, w ogóle nie powinna nic robić w tym stanie, pomyślał Pęcherz, ale nie ruszył się z miejsca. Jego żona dreptała po izbie kołyszącym się krokiem ciężarnej, niosąc swój wielki brzuch, ale nie stała się przez to łagodniejsza.

Po kąpieli posadził syna na stołku i wplótł mu we włosy kawałki króliczych kości. Bagienny królik był pierwszym stworzeniem, które Pęcherz wytropił i zabił. Jeszcze zanim w lasach rozpleniła się szara choroba. Teraz miał wspierać jego przybranego syna. Haran rozpromienił się.

— To znaczy, że zostanę wojownikiem, prawda? Prawdziwym Druazzi?

Dorośli spojrzeli po sobie. Ściągnięta twarz Pęcherza miała dziwny wyraz. Z ojcowską dumą sąsiadował smutek, niczym burzowy mrok, który nagle zasnuwa część nieba. Heza w milczeniu zmieszała w misce trochę popiołu, węgla drzewnego i kurzego tłuszczu. Wtarła mieszankę w jasne włosy chłopca. Były krótko ostrzyżone, poza ocalałym kosmykiem z tyłu głowy – zapowiedzią dumnego czuba wojownika, który będzie mógł nosić, gdy pojmie pierwszego jeńca.

— Nigdy bez tego nie wychodź. Pamiętaj, że jesteś chory — przypomniała. Chłopiec wzruszył ramionami. Mówiła tak za każdym razem, przeświadczona, że na ulicy ukatrupią go za

sam wygląd. Ale w ich bandzie to on był przywódcą. I nigdy nie spotkało go nic złego.

Jednak w spojrzeniu Hezy kryło się coś jeszcze. Kobieta ścisnęła starą zabawkę, drewnianego, malowanego na niebiesko jelonka, którego wystrugał Pęcherz. Gładziła ją, jakby była czymś bezcennym i zaraz miała to oddać.

Dorośli są naprawdę dziwni, pomyślał.

Haran obudził się w środku nocy. W brzuchu burczało mu z głodu, ale do tego zdążył się ostatnio przyzwyczać. Chodziło o coś innego. Była w tym dziecięca ekscytacja przed świętem, radość okraszona niepokojem. Pęcherzowi i Hezie także udzielił się ten stan.

Jeszcze nie spali, słyszał, jak ojciec krąży po glinianym klepisku, wypełniając ciszę żołnierskimi bluzgami. Heza zaklinała go przyciszonym głosem, zatrzymywała i błagała. To nie dziś, uspokajał Pęcherz. Nie dziś. Najpierw muszę... i znów przerwał mu jej zduszony płacz.

Haran uznał, że sytuacja jest w normie. Gdy wymykała się spod kontroli, ojciec krzyczał i ciskał o ścianę pustymi dzbanami po *pulque*. Niszczył też różne przedmioty, a potem śpiewał tęskne, wojenne pieśni. Chłopak nawet nie zauważył, kiedy usnął.

O świcie obudził go ojciec. Pęcherz lubił bezceremonialne pobudki, komendy i szorstki dryl, które przypominały mu młodość. Czasy, gdy znany był jako Pijany Miecz, słynący z brawury dowódca Leśnego Kontyngentu Druazzi. Musztrowany przez niego Haran nie dzielił tych sentymentów i z dwojga złego wolał, jak budził go własny pęcherz. Stary kazał chłopcu się ubrać i wyprowadził go na wąską ścieżkę, która zagłębiała się w las.

Zwykle Heza przygotowywała im na drogę zapasy; gotowane kukurydziane ciasto *tamalli* i ostrą pastę z fasoli. Teraz

prowiantu prawie nie było i musiały im wystarczyć placki z mieloną korą. Mimo to Haran dreptał za ojcem uśmiechnięty, ciesząc się ze wspólnej wyprawy. Pęcherz od dawna już nie zabrał go na polowanie, a i sam rzadko zapuszczał się do lasu. Za bardzo absorbowało go picie.

Pijany Miecz nie robił bowiem niczego na pół gwizdka. Zatracał się w *pulque* z takim samym talentem i pasją, z jakim kiedyś zatracał się w łowach, miłości i wojnie. Bywało, że cały dzień siedział rozparty na ganku, wpatrzony w wirujące na wietrze wstążki i kolorowe gałgany, mające chronić dom przed złośliwymi duchami. Ale jak magia mogła cokolwiek pomóc, gdy złe moce gnieździły się w jego własnym sercu?

Czasami zabierał Harana do wzniesionego na palach budynku z długich bali, będącego Domem Wojownika ich plemienia.

Przesiadali tam dumni, zabiedzeni starcy, z wytatuowanymi, malowanymi indygo i ochrą twarzami i zębami spiłowanymi starym, zakazanym przez Kruzów zwyczajem. Zdaniem ich władców tylko członkowie kasty wojowników mogli się naznaczać w ten sposób. Status plemiennych barbarzyńców był niejasny, co prowadziło do licznych napięć, które regularnie dostarczały kruzańskim wojownikom rozrywki.

Wielu młodych Druazzi wyśmiewało puszczańskie tradycje i tabu, uznając je za nieżyciowe przeżytki i zawadę w nowych, wspaniałych czasach. Pęcherz był inny. Zaszczepił przybranemu synowi dumę i gorzką, doprawioną szyderstwem miłość do tego, co utracone i piękne. Patriarchowie plemienia uczyli Harana polować, walczyć i opowiadać, a gdy skończył siedem lat, uroczyście spiłowali mu zęby.

Bolało jak diabli, mimo uśmierającego naparzu z powojów, ale Haran dałby sobie uciąć rękę, żeby zdobyć uznanie tych ludzi. Byli inni, wyrzeźbieni z twardszego i szlachetniejszego drewna. Dębiny albo cennego mahoniu, a nie cienkiej, sosnowej sklejki. Świadkowie lepszego czasu wędrówek, polowań

i walk, zanim lasy zbutwiały i zgniły, a zwierzęta rozpierzchły się w ciszy. Opowiadali Haranowi o leczniczych duchach, które połykali szamani Druazzi, i magicznych, widmowych dmuchawkach, którymi właczali je w rany. O śpiewie wodospadów i wyczekiwaniu na wizje, a także o preparowaniu zdobycznych głów. O sztuce gromadzenia magicznej esencji wrogów, która dostarczona do wioski, wywierała zbawienny wpływ na piwowarskie wysiłki kobiet. „Chcesz uwarzyć dobre maniokowe piwo? Zabij co najmniej trzech wrogów”.

Pęcherz wciąż opowiadał chłopcu historie, ale w miarę upływu lat jego opowieści stawały się coraz bardziej posępne, przesycone cynizmem i trunkiem. Przeszłość... W tym kraju wszystko było naznaczone przeszłością, niczym zaszczone gacie. Niech Haran nigdy nie da sobie wmówić, że byli tępymi, parszywymi dzikusami, jak zawszeni Otomi z Równin czy inne koczownicze łachudry. Owszem, dla Kruzów i innych szczypawek z kamiennych domów Druazzi pozostawali barbarzyńcami, ale przecież byli też wojownikami, czarownikami i myśliwymi, poetami i artystami.

Ich los odmienił się podczas Wielkiej Wojny.

Wraz z innymi uciskanymi plemionami poparli zamorskich najeźdźców. Marzyła im się zemsta na władcach Pierwszego Przymierza, którzy co roku najeżdżali ich ziemię. To był błąd. Dziś ich podbity kraj stanowił część krzyżackiego imperium, Odrodzonego Przymierza, a niedobitki Druazzi gniły w nadrzecznych bagnach.

Pijany Miecz rozpamiętywał tę klęskę każdego dnia, w jakiś sposób współgrała z jego prywatnym cierpieniem, goryczą zrodzoną z porażek. Czasami zaś wracała mu wiara, i to było jeszcze gorsze. Zrywał się wtedy i krzyczał, że wkrótce odzyska majątek. A potem znów wracał z niczym, nie licząc sińców i guzów. Czasem wołał wówczas do siebie syna, a jego mamrotanie brzmiało jak zduszona kłątwa.

Teraz znowu szli razem, nareszcie. Haran był bardzo szczęśliwy. Każdy chłopak wierzy, że jego ojciec jest mądry i silny, to pierwotny monoteizm dzieciństwa. Nawet pijackie ekscesy nie zdołają podkopać tej wiary. Zwłaszcza w słoneczny dzień, kiedy razem idziecie polować.

Całą dzielnicę, kwartały glinianych chałup między rzeką a wzgórzem, zamieszkiwali Druazzi. Wywodzili się z licznych szczepów, które głód, rugowanie z ziemi i szara choroba lasów zagnały w końcu do miasta. Stali się kundlami, które żerują w pobliżu śmietnika.

Wrogowie nazywali ich barbarzyńcami, ale błotniste, cuchnące rybami uliczki zamieszkaną przez nich Dzielnicy Leśnej były znacznie czystsze i bardziej praworządne niż wielkomiejskie slumsy zajęte przez osadników z ludu Kruzów.

Nad okolicą dominowało płasko ścięte wzniesienie z porowatego wapienia. Po zboczu pięły się dzielnice rzemieślników i kupców, na szczycie wznosiły się schodkowe piramidy świątyni i dumne pałace szlachty. Przechadzali się tam wyniośli synowie kruzańskich rycerskich rodów: Złotego Psa, Orła, Turkusowej Włóczni. Druazzi nie mieli tam wstępu, poza dniami świątecznymi, gdy kapłani odgrywali przed ludem Yugal swe uroczyste spektakle.

Haran znalazł się tam raz. Wciąż pamiętał przepych pie-rzastych szat w czerwieni, błękicie i o barwie cienistej zieleni morza. Święto ku czci starego azteckiego Tezcatlipoki było feerią woni i barw, klejnotów, kadzidła i krwi. Szczyt wzgó-rza należał do bogów, zwykli ludzie pokornie gnieździli się pod nim.

Pośród licznych społeczności Yugal Druazzi odznaczyli się najbardziej niejasnym statusem, wyłamując się z kastowego porządku imperium. Prześladowani za swoją rolę podczas Wielkiej Wojny, wciąż byli cenionymi wojownikami. W ostatnich dziesięcioleciach kruzańscy królowie Przymierza uchronili Druazzi przed całkowitą zagładą, wiedząc, że leśne szczepy

stanowią znakomite źródło żołnierzy. Ocalili myśliwych, ale nie zdołali uratować puszczy, która ich karmiła. Zagarnęło ją wiecznie nienasycone Yugal.

Miasto rozlało się niczym spuchnięta ropucha, dysząc pośród błotnistych, wyjąłowionych pól, moczarów i resztek puszczy, wykarczowanej, spalonej albo zgniłej od szarej choroby. Gdyby nie pieniądze zarabiane przez najemników i emigrantów, plemię dawno wymarłoby z głodu.

Nad rzeką z mgieł wyłoniło się dwóch ludzi: stary Hon i jego syn Yora. Hon miał dziką, nieprzeniknioną twarz. Jak wszyscy Druazzi starej daty ozdobił ją tatuażami, które przecinały zmarszczki. Szeroki kapelusz z palmowych włókien chronił przed deszczem i leśnym robactwem. Podobnie jak Pęcherz, uzbrojony był we włócznię i dwa rytualne sztylety, z których jeden, Jasny, służył do codziennych czynności, drugi zaś, Ciemny, dobywano jedynie wtedy, gdy musiano kogoś zabić.

Kiedy wyszczerzył się w uśmiechu, resztki spiłowanych zębów błysnęły zielenią nefrytu. Wojownicy Druazzi chętnie wzmacniali uzębienie płytkami drogocennych kamieni, co nie miało nic wspólnego z kanibalizmem, o który oskarżali ich słabi i kłamliwi ludzie z miast. Jego potomek, Yora, wyglądał przy Honie jak postać z kukielkowych jasełek, wredny, wieczne błaznujący diablik z chudą twarzyczką szczura i wielkimi oczami, z których wyzierała jakaś ponura tęsknota.

Mężczyźni powitali Pęcherza z szacunkiem, na jaki zasługiwał wódz, mimo że ich plemię było teraz tylko kroplą w ludzkim morzu, które rozlało się wokół starożytnego Yugal. Zagłębili się w las. Haran milczał, bo oni milczeli. Był dumny, że sunie przez poszycie puszczy tak cicho jak reszta, nadrabiając brak doświadczenia lekkością. Bardzo chciał zasłużyć sobie na pochwałę Pęcherza i Hona. Las ustąpił miejsca nadrzecz-nyemu rozlewiskom Mys. Szli gęsiego, miejscami brodząc po

pas w mule, przedzierając się przez trzciny, bagniska i hałdy odpadków.

Aż dziw, czego ludzie nie wyrzucą do wody. Najbardziej śmierdziały ciała, tutejsi zawsze powierzali swych zmarłych rzecze. System sprawdzał się, gdy zamieszkiwali niewielkie wioski, ale teraz, w zatłoczonych slumsach, powodował potworny fetor.

Chłopiec sądził, że idą na polowanie. Ale oni skierowali się w górę zbocza.

Kiedyś była to zwyczajna dzielnica, z domami z wewnętrznym dziedzińcem, warsztatami, placem targowym i szkołą świątynną. Dziś ulice roiły się od uchodźców. Przeważnie byli to chłopci z okolicznych wiosek, których szara choroba zmieniła w nędzarzy, ale trafiali się też przybysze z południa, uciekający przed nasilającą się wojną. W apatycznym tłumie krążyli handlarze i kurwy. Haran widział sprzedawców kukurydzy i myśliwych odganiających muchy od jelenich półtuszy. Jakiś łotrzyk przyglądał im się z namysłem, ale na widok Pęcherza zrezygnował.

Bez przeszkód dotarli przed wrota Górnego Miasta. Tłoczyli się tu łowcy z dobrami zdobytymi w lesie. Znosili poroża jeleni i skóry niebezpiecznych gadów: iguan i jadowitych, czarno-żółtych jaszczurów *tecueh*. Inni taszczyli ziarna czekolady, drewno na strzały oraz najcenniejszy z towarów: pióra barwnych ptaków, kwezali. Chłopi z koszami fasoli, papryki i kukurydzy odprawiani byli z kwitkiem, takie transakcje załatwiano na targu wiejskim.

Haran zadzierał głowę, wpatrzony w zdobiące mur rzeźby skrzydlatych węży. Zwieńczenia starych baszt miały kształt czaszek, z demonicznymi twarzami o grubych rysach. W ich rozdziawionych, głodnych ustach mieściły się mosty zwodzone, z których wojownicy mogli kontratakować, zbiegając po pomostach z plecionej trzciny, niczym po wywalonych

jęzorach. Jeżeli wrogów było zbyt wielu, demony unosiły klapy powiek, a z „oczu” baszt wylewały się olej i wrzątek.

Wokół panował grożący wybuchem, nerwowy nastrój, właściwy dla okresów głodu, choroby i suszy. Strażnicy – rośli mężczyźni w zbrojach ze skóry, bawełny i filcu, z pierzastymi insygniami w zielonym kolorze Yugal, obrzucili ich grupę pogardliwymi spojrzzeniami.

– Tylko z wartościowym towarem, śmierdziele. Nie trzeba nam tutaj żebraków i chorób.

Pęcherz i Hon stężeli. Druazzi stosowali *masztak*, oczyszczające kadzidło chroniące przed złymi duchami. Nie wszyscy lubili ten zapach, choć chłopiec wołał go od preferowanego przez Kruzów kopalu.

Haran ujrzał, jak ojciec rozprostowuje prawicę. Na serdecznym palcu widoczne było pasmo jaśniejszej i czystszej skóry. W tym miejscu znajdował się kiedyś zielony jadeitowy pierścień. Chłopiec pamiętał, że Pęcherz otrzymał go za wojenne zasługi. Pierścień był czymś w rodzaju nadania szlachectwa i uprawniał go do wchodzenia na teren Górnego Miasta.

Pamiętał też dzień, gdy ojciec zastawił go u lichwiarza i przez cały wieczór kurczowo zaciskał dłoń. To był dopiero początek wstydu i jasnych plam. Znaczyły ściany ich chaty, w miarę jak Pijany Miecz wyprzedawał gobeliny, trofea wojenne i broń, naczynia kuchenne i meble. Heza powiedziała mu kiedyś, że ojciec wpadł w długie, żeby wspomóc Druazzi zrujnowanych przez szarą chorobę. Haran podejrzewał, że głównym winowajcą były jednak *pulque* i kości.

Drugi strażnik był tłusty i miał lepkie, błyszczące usta. Mrugnął do Harana i uśmiechnął się słodko.

– Za to chętnie wpuścimy tu wasze córki. Jakoś się je domyje. Chłopaczek też się nada, he, he... — Śmiech tłuszciocha przeszedł w zduszony kwik, gdy Pęcherz dzielił go pięścią w splot słoneczny. Strażnik padł, daremnie łapiąc powietrze, a drugi Kruz zastygł z uniesioną włócznią.